

„Każdy człowiek ma swojego jelenia”

Każdy ma swojego jelenia, mówiła mama. Nie pamiętam, ile miałam wtedy lat. Jednak na tyle niewiele, by rozumieć sens jej słów. A teraz? Ni w ząb. Za nic nie mogę sobie przypomnieć, o co też mogło jej chodzić. Odbywam długie podróże w głąb mojego umysłu, wertuję wspomnienia i wybieram jedno – wydawać by się mogło – niosące odpowiedź, lecz na końcu zawsze zostaję sama w wielkiej otchłani przeszłości. Czasami próbuję pojąć istotę tych słów od nowa, spojrzeć na nie świeżym okiem, spontanicznie wpaść na rozwiązanie albo poszukać go w jakiś niestandardowy sposób, na przykład przetłumaczyć słowa na arabski, norweski czy suahili... Nic z tego. A po wszystkim zawsze się zastanawiam, dlaczego jest to dla mnie takie ważne i na to pytanie, oczywiście, też nie potrafię sobie odpowiedzieć. Tak się po prostu zdarza, że coś do człowieka wraca i nie daje spokoju. Może za sprawą sił wyższych, przeznaczenia, czy czegoś w tym rodzaju. Nie wiem.

W każdym razie, pewnego dnia dostałam szansę, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Myślę, że życie często daje nam różne szanse, ale my nie jesteśmy zbyt spostrzegawczy i mijamy je bezwiednie. Jednak ja miałam szczęście, ponieważ moja szansa – mimo że przysłała znieściana – była tak jasna i przejrzysta, że nie mogłam przejść obok niej obojętnie.

To był bardzo ciepły dzień. Wymyśliłam sobie, że pójdę do sklepu po bułki. Później zrobię jogę, myślałam, przygotuję śniadanie, zjem je, a dalej nie wiem, zobaczymy. Sklep z bułkami nie był daleko, wystarczyło przejść przez ulicę i iść chodnikiem jakieś pięćset metrów w lewo. Jednak tym razem postanowiłam iść inną drogą, nieco dłuższą. Weszłam do parku, z jego białymi brzożami i wierzbami, które płakały, z psami robiącymi kupy pod latarniami i ich właścicielami, którzy nie mieli zamiaru tych kup posprzątać. Szłam przed siebie, omijając slalomem brzozy, wierzby, psy, właścicieli, kupy i latarnie, i myślałam o bułkach. Grahamki czy te ze słonecznikiem? Nie, piękno tkwi w prostocie, kupię pszenne. I w chwili, kiedy zdecydowałam, na jaką bułkę mam dzisiaj ochotę, mój but przygniótł świeżą zielonkawą kupę. Trochę się zdenerwowałam i podniosłam wzrok w poszukiwaniu właściciela-winowajcy, ale dostrzegłam tylko moją szansę. Jawiła mi się jako kilka, nabazgranych na kartce papieru wyrazów. A kartka była plakatem, który wisiał na latarni, a latarnia nie świeciła wcale, bo dzień dopiero się zaczynał, a dzień ten miałam zapamiętać na bardzo długo, a może dłużej jeszcze.

Upoluj zielonego jelenia.

Kupę i jej barwę uznałam za znak, a serce biło mi w przyspieszonym tempie, kiedy czytałam treść plakatu. Zerwałam go jednym zamaszystym gestem i rzuciłam się biegiem do domu. Zupełnie zapomniałam o bułkach.

Zielone jelenie lubią kąpać się w zielonej rzędzie wodnych oczek. Wędrują z lasu do lasu, zawsze samotnie, i w żadnym nie zostają dłużej niż cztery doby. Ich poroża to młode drzewa, których korzenie wychodzą jeleniom przez uszy. Nie, nie, z tymi uszami, oczywiście, żartuję. Ale w tamtych dniach ludzie wygadywali o tych stworzeniach niesamowite rzeczy i czasem trudno było stwierdzić, co jest prawdą, a co zwykłym kłamstwem. W naszym miasteczku zapanował chaos. Niemal każdy chciał upolować zielonego jelenia i sprzedawał na prawo i lewo wysane z palca historie, byleby tylko zwiększyć swoje szanse na wygraną w polowaniu. Tylko jedno było pewne – zielenie to szkodniki. Jest tak, jakby żywiły się naturą, pozostawiając ją bezbarwną i martwą. Wydawać by się mogło, że są przyrodą samą w sobie i nie zostawiają dla niej miejsca na Ziemi.

Dlatego były do odstrzału. Jednak szlachetny cel ratowania pól i lasów był, oczywiście, dopiero początkiem. Myśliwych motywowała przede wszystkim wizja nagrody fundowanej przez Ministerstwo Środowiska, a mnie, no cóż... Byłam przekonana, że

upolowanie zielonia da mi odpowiedź, a przekonanie to tkwiło we mnie tak głęboko, że niemal kompletnie ześwirowałam.

- Przecież kochasz każdą istotę, chodzącą po naszej planecie! Zupełnie cię nie rozumiem. Jeśli potrzebujesz kasy, mam małe oszczędności, wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Wiem o tym. Dlatego proszę cię o pomoc i nie chodzi wcale o pieniądze. Naucz mnie, jak tego używać, proszę.

Mój chłopak jest świetnym łucznikiem. Jeździ na zawody, wygrywa je, a do tego każdy łuk i strzałę, których używa, tworzy sam. Mało tego. Ma długie blond włosy i błękitne oczy, niczym Legolas z Władcy Pierścieni, serio.

- Proszę, kochanie, to naprawdę dla mnie ważne!

Zgodził się, jakby mogło być inaczej. W tydzień zrobił ze mnie łuczniczkę z okiem niemal tak celnym jak swoje. Według najnowszych wiadomości, zieleń zbliżał się do lasu, otaczającego miasteczko. Idealnie. Czułam się prawie gotowa. Spakowałam plecak na trzydniowy pobyt w leśnej głuszy, zabrałam dwa łuki z hikory i dwadzieścia dwie karbonowe strzały, kupiłam dużo pszennych bułek i kilka sadzonek stewii. To ostatnie było moim asem w rękawie, gdyż z tajnych źródeł dowiedziałam się, że zielone jelenie uwielbiają słodkawy zapach tego zioła. Nie wiedziałam, czy się sprawdzi, a jednak byłam dobrej myśli i czułam przewagę nad innymi myśliwymi, zatapiającymi się wraz ze mną w sidła przyrody.

Pozostało tylko jedno.

- Cześć, mamó.

Było późno, a na ulicach nie było już żywej duszy. Nikt nie mógł mnie usłyszeć. Siedziałam na chodniku i patrzyłam na wystawę sklepu z zabawkami. Jest to bardzo stary sklep, a wszystkie sprzedawane w nim przedmioty są drewniane: koniki na biegunach, nakręcane bączki, lalki... Nie wiem, czy ktoś tu jeszcze przychodzi. Ja odwiedzałam sklep co czwartek, kiedy żyła mama. Rzadko coś kupowałyśmy, bo wystarczyła nam sama obecność w tym świecie z drewna i kolorowych farb, a każda rzecz miała tu swoją nazwę, nadaną przez nas i Pana Rączkę – twórcę zabawek.

- Wiesz, jeśli teraz się nie dowiem, o co ci chodziło, to chyba sobie odpuszczę. W końcu miałaś mnóstwo nienormalnych pomysłów i myślę, że ten z jeleniem do nich należał... I pewnie nie ma to żadnego znaczenia. No, ale spróbuję. Chcę i chyba muszę. – Lalka Rusałka patrzyła na mnie otępiale, a Misiowi Zdzisiowi coś przygniotło lewą nogę. – Kurczę, to będzie przygoda! Dobra, no to idę. Trzymaj kciuki. I wy też. – Omiotłam wzrokiem całą wystawę, wszystkich moich starych przyjaciół i stare wspomnienia, i ruszyłam do lasu. Upolować zielonego jelenia, a co.

Szłam w równym tempie dwie i pół godziny w górę strumienia i rozbiłam się w pobliżu sosnowego zagajnika. Po drodze słyszałam innych śmiazków, ich kroki i ciche rozmowy, a także pohukiwanie sowy i odgłos łamanych gałęzi pod moimi butami. Nieczęsto bywam w lesie nocą i chyba powinnam to zmienić, bo dzika przyroda ma wówczas inny wymiar, swój własny klimat i magiczną poświatę niebezpieczeństwa. Wspaniale. Nie bałam się. Przed namiotem posadziłam sadzonkę stewii i bardzo szybko zapadłam w głęboki sen.

Tak spędziłam trzy dni i trzy noce, wędrując, sadząc stewię, wypatrując, nasłuchując i wymieniając uwagi z innymi myśliwymi, a także gaworząc z lisami i ptakami. A później wróciłam razem z całą zgrają żołnierzy z przegranej wojny. Zawiedzeni i niespełnieni, słuchaliśmy wieści o umierających drzewach i mchu, z którego kroki jelenia wysysały kolor. I mimo że podczas trwania naszej wyprawy widzieliśmy niejednego szary wrzos, wyblakłe futra wiewiórek i wodne oczka pozbawione rzęsy, żadne z nas nie zdołało wypatrzeć choćby liścia rosnącego na porożu zielonego jelenia. Byliśmy przekonani, że przechodził obok nas, gdy spaliliśmy i pił z tych samych, co my, strumieni i śmiał się z nas tak, jak zwierzęta potrafią, a potem rozplywał w powietrzu, niczym mgła lub chmura na wietrze.

*- A więc to tak?
Może wcale nie istniejesz,
może duchem jesteś
lub zjawą szkaradną,
szkodę niosącą,
przyrodę raniącą.
To tak. To tak.*

Chudy pan w słomkowym kapeluszu śpiewał i grał na gitarze o trzech strunach przed budynkiem władz miasteczka, a ludzie dawali mu złote monety ochoczo. Był beznadziejny, ale odzwierciedlał swoimi słowami nasze proste ludzkie myśli i to wystarczyło, by zarobił na kilka chlebów ze słonecznikiem.

Każdy ma swojego jelenia, mówiła mama, a ja wciąż nie wiem, co miała wówczas na myśli. Próbowałam już wszystkiego, żeby dociec sensu jej słów – no, na przykład polowania na zieloną odmianę tego zwierzęcia. Jednak szansa na poznanie prawdy wcale szansą nie była, tylko mój instynkt nie działa tak, jak powinien. Rzuciłam więc jedzenie pszennych bułek i chodzenie do piekarni przez park, odbyłam długą rozmowę z mamą i z Lalką Rusałką, zerwałam kontakt z tajnymi źródłami i oddałam Legolasowi jego łuki. A mimo wszystko instynkt nadal mnie zwodzi. Mówi do mnie, lecz nie bardzo słyszę co. Mamrocze coś o tych zieleniach i nie daje za wygraną. Nie mogę się zdecydować, czy nazwać go nadzieją głupca, wrodzonym uporem, czy jeszcze jakoś inaczej. A dzisiaj to już w ogóle nie daje mi spokoju. Potrzebowałam dnia wytchnienia, więc kupiłam sobie nową książkę, lecz zupełnie nie mogę się nad nią skupić, bo w głowie mam tylko te jelenie, jelenie, jelenie...

Najpierw czuję dziwny zapach i od razu przychodzi mi do głowy, że to właśnie tak pachnie kolor zielony. Wychodzę na taras, podążając za wonią zieleni, jak pies węszący kość, i widzę dwa drzewa, które wcześniej wcale tutaj nie rosły. Siedzą na nich ptaki i rozmawiają między sobą, nie wiem, o czym. Zauważam też, że stewia, którą wczoraj posadziłam w ogródku, pomału znika i dopiero, kiedy niknie całkowicie, dostrzegam oczy. Ludzkie oczy. Oczy mojej mamy.

Te oczy mówią mi więcej niż jakiegokolwiek słowa. Opowiadają historię o ludziach i ich jeleniach, którzy żyją w lasach i kąpią się w oczkach wodnych pełnych zielonej rzęsy. Ludzie wiedzą, że są tylko ludźmi, a jelenie wiedzą, że zwykłe z nich jelenie i myją sobie nawzajem plecy i grzbiety. Bo każdy jest tylko częścią jednego wielkiego zielonego jelenia, tylko częścią przyrody, prawie drzewem, prawie sową, prawie zielonkawą kupą psa. Jednak ludziom, którzy myją zwierzętom grzbiety, jedna rzecz ciągle chodzi po głowie i tylko jedna rzecz ma dla nich prawdziwe znaczenie. Przecież jelenie nie mają ludzi, a ludzie mają jelenie.

Urszula Małecka, 19 lat